

„UŁASKAWIENIE”

nowy film

JANA JAKUBA KOLSKIEGO



O FILMIE

Osadzona w realiach powojennej Polski historia zmagających się z żałobą rodziców, wyruszających ze swoim synem w ostatnią podróż, opowiedziana z perspektywy ich wnuka Jana. Syn Hanny i Jakuba, żołnierz AK Waław „Odrowąż” Szewczyk, zostaje jesienią 1946 roku zastrzelony przez UB. Po serii upokorzeń doznanych ze strony nowej władzy, bezczeszczącej zwłoki ich dziecka, Hanna i Jakub postanawiają zapewnić synowi godny pochówek w oddalonej o 500 km Kalwarii Paławskiej. Podróż rodziców przez wciąż pogrązoną w powojennym koszmarze Polskę staje się metaforyczną wyprawą w głąb ludzkiej duszy i próbą stworzenia na nowo definicji człowieczeństwa w świecie, w którym sąsiedzi zwracają się przeciwko sobie, a nieoczekiwanym sojusznikiem może stać się dotychczasowy wróg.

SCENARIUSZ I REŻYSERIA: Jan Jakub Kolski

PRODUCENCI: Agnieszka Janowska, Paweł Kosuń, Jan Jakub Kolski, Aleksandra Michael

ZDJĘCIA: Julian A.Ch. Kernbach

CASTING: Marta Wojciechowicz

DŹWIĘK: Ivan Horak

SCENOGRAFIA: Paulina Korwin-Kochanowska, Urszula Korwin-Kochanowska

KOSTIUMY: Monika Onoszko

CHARAKTERYZACJA: Anna Nobel-Nobielska



W rolach głównych: Grażyna Błęcka-Kolska, Jan Jankowski, Michał Kaleta.



Grażyna Błęcka-Kolska

Aktorka filmowa i teatralna. Na początku kariery występowała w Teatrze im. Mickiewicza. W późniejszych latach należała do dwóch wrocławskich zespołów: „Drugiego Studia Wrocławskiego” oraz Teatru Współczesnego. Zagrała w przeszło 20 filmach i kilku spektaklach telewizyjnych, w wielu z nich kreując rozpoznawalne i wybitne postacie, zauważane i nagradzane na festiwalach filmowych. Współpracowała z takimi artystami jak: Janusz Gajos, Krzysztof Majchrzak czy Krzysztof Globisz.

Jan Jankowski

Aktor filmowy i teatralny, lektor. Początki jego kariery sięgają pracy w Teatrze Rozmaitości w Warszawie oraz Teatrze Polskim we Wrocławiu. Wystąpił w ponad 30 filmach, przeszło 40 serialach oraz kilkunastu spektaklach telewizyjnych – w tym m. in. w „Dekalogu” czy „Obywatelu świata”.

Michał Kaleta

Aktor filmowy i teatralny. Ukończył Wyższą Szkołę Teatralną we Wrocławiu. Od roku 2000 związany z Teatrem Polskim w Poznaniu. Zagrał w kilkunastu filmach, etiudach oraz spektaklach telewizyjnych. Wystąpił m. in. w „De Facto”.

Michał Kowalski

Aktor filmowy i teatralny. Ukończył Akademię Teatralną w Warszawie. Od roku 2000 związany z gdańskim Teatrem Wybrzeże, poprzednio z Teatrem im. Stefana Jaracza w Olsztynie. Zagrał w kilkudziesięciu filmach fabularnych, serialach oraz spektaklach telewizyjnych.



OD REŻYSERA

„Ułaskawienie” ma być obrazem bardzo osobistym. Chcę powołać się w tym filmie na życie moich dziadków – Anny i Jakuba. W ich losie wpisanym w panoramę losów polskich pierwszych lat po wojnie przechował się jakiś szczególnie przejmujący depozyt cierpienia, uporów, odwagi i... miłości. Przez lata uczyłem się historii o bohaterach; w Szkole Podstawowej w Popielawach, w liceum we Wrocławiu, na studiach, na ulicy. Zmieniały się stroje, z nimi perspektywy, ale jedno pozostało niezmiennie: pewność, że najodważniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem, była moja babcia Hania, zaś mężczyzną mój dziadek Jakub.

Jan Jakub Kolski

JAN JAKUB KOLSKI

Jestem upartym, prowincjonalnym reżyserem, który nie poddaje się modom. Mam pychy w sam raz tyle, żeby od czasu do czasu odezwać się do moich współczesnych z informacją o sobie – mówi twórca „Ulaskawienia” Piotrowi Zarembie.

MĘCZY MNIE PĘKNIĘCIE MOJEGO KRAJU

„Ulaskawienie” to ciąg swoistego cyklu o Popielawach, gdzie się pan wychował. Czy zakładał pan, że opowie tę historię?

Nie, ta droga układa się niejako sama, jako skutek rozmaitych zdarzeń. Po „Historii kina w Popielawach” przez z górą siedem lat musiałem karmić kino cudzą literaturą, bo na moje scenariusze nie mogłem znaleźć pieniędzy. Poza tym – co zrozumiałem niedawno – do „Ulaskawienia” musiałem dorosnąć, więc ta przerwa na „cudze” kino dobrze mi zrobiła.

Wraca pan do historii swoich dziadków, państwa Szewczyków. Pojawia się pan w filmie jako Janek urodzony w 1956 roku. Ale na ile fa opowieść nakłada się na realne wydarzenia? Co się tak naprawdę zdarzyło?

Brat mojej mamy, Waclaw Szewczyk, żołnierz AK, ujawnił się w listopadzie 1945 roku, wrócił na studia w Łodzi, ale już w maju 1946 znów trafił do lasu, najpierw jako szef placówki WiN w Tomaszowie Mazowieckim, a potem jako dowódca oddziału Konspiracyjnego Wojska Polskiego. Dziadek, bagatelizując przeczuca babci, zaprowadził do oddziału byłego podkomendnego wuja z AK Stefana Zajęca z Żarnowicy. Nie wiedział, że UB go złamało. No a potem było pięć pogrzebów Waclawa; pierwszy w lesie nieopodal gajówki, cztery kolejne na cmentarzu w Łaznowie. I nieludzkie ekshumacje, każda z udziałem dziadków. W łódzkim IPN, dzięki doktorowi Bednarkowi, udało się kompletować bardzo dokładną dokumentację tej śmierci. Znalazłem tam między innymi dossier „przestępcy przeciwpaństwowego”, mojej babci Hani, którą UB aresztowało i postawiło w stan oskarżenia. Przeczytałem dziesiątki zeznań i zestawiając je ze sobą, odnalazłem i wydłubałem z belki w gajówce w Chrzemcach pocisk z serii, która zabiła wuja Wacka. Potrafię to udowodnić bez cienia wątpliwości. A podróż z trumną wzięła się stąd, że babcia wdrukowała mi w głowę takie zdanie kierowane do wuja: „Synku, chciałabym cię pochować wysoko, w spokojnej ziemi”.

Sam pan czyta w filmie partie narratora. Takie osobiste kino nie jest nadmiernym odsłanianiem się?

A czym innym jest kino autorskie? To ja, z moją pamięcią serdeczną, zwykle bolesną, jestem „surowcem” do obróbki. Zaslania nie to zamazywanie szczerości. Próbowałem rozmaitych rozwiązań; tekst czytał młody aktor, który w pierwszej, inaczej zmontowanej wersji filmu był moim alter ego, potem czytał inny aktor, na koniec ja. Cudzy głos odbił się od tego filmu jak piłka.

Czy „Ulaskawienie” to jest kino historyczne? Tadeusz Sobolewski napisał, że to właściwie kostium do współczesnej rozmowy o wojnie polsko-polskiej. Ale czy dla pana najważniejsze było opowiedzenie o dawnych zdarzeniach, bo warto je

przypomnieć, czy danie nam Polakom jakiegось przekazu na dziś?

Jestem upartym, prowincjonalnym reżyserem, który nie poddaje się modom. Mam pychy w sam raz tyle, żeby od czasu do czasu odezwać się do moich współczesnych z informacją... o sobie. Bo siebie trochę znam. A że to rezonuje, że spotykam się ze współczesnością, że – być może – ociera o jakieś wspólne, powiedzmy „ogólnopolskie”, intuicje, to jest już naddatek. Ważny jest ton rozmowy; bez poczucia wyższości, bez mocowania w filmie wskazań. Tak, mężczy mnie pęknięcie mojego kraju na pół. Męczy i boli. Zapewne refleks tej emocji da się odnaleźć w „Ulaskawieniu”, ale nie jako dedykacja wprost, nie jako przesłanie do Polaków. Przesłanie mogę wygłosić teraz, przy okazji tej rozmowy: bracia, lubmy się bardziej, bądźmy wobec siebie bardziej wyrozumiali, rozmawiajmy. Uszanujmy cierpienie naszych dziadków i babć.

Jaki ma pan stosunek do tematyki „wyklętych”? Widział pan wcześniejsze filmy na ten temat? Chciał pan powiedzieć o nich coś nowego? A może to jest polemika z na wpół oficjalnym przekazem na ich temat, z jakim mamy do czynienia w ostatnich latach?

Widziałem fragmenty dwóch filmów. Słaba robota. A myśląc już o przyszłości: politycy powinni wiedzieć, że niezbędne go im mitu bohatera nie da się wytworzyć rękoma niezdolnych artystów. Do tego potrzebni są artyści najwyższej miary, ale z tymi jest kłopot taki, że najpewniej nie przyjmą zamówienia.

Jaki mam stosunek do „wyklętych”? Taki, jaki się ma do najbliższych. Dziadek Jakub był ochotnikiem w legendarnym Pierwszym Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego. Jako jeden z trzystu szaleńców brał udział w szarży pod Arcelinem, tej, która odwróciła losy Bitwy Warszawskiej. To on, prosty rymarz z Popielaw, 160 centymetrów wzrostu, wywalczył nam – mnie, panu – wolność. Potem był szefem niewielkiego rejonu AK, a na koniec więźniem Auschwitz. Jego syn poszedł za obowiązkiem wypalonymi mu w duszy przez ojca i matkę. Zapewne moja perspektywa jest upośledzona, osobista, ale dotyka mnie prześmiewczy ton rozmaitych wesółków czepiających się żołnierzy podziemia niepodległościowego. Podobnie jak wkurzają mnie podkoszulki z „wyklętymi” na piwnych brzuchach „patriotów”.

Mam wrażenie, że pan kocha tamtych Polaków takimi, jakimi oni wtedy byli, potrzebaskanych, z wątpliwościami, z traumami. Myśli pan, że oni zdali wtedy egzamin? A może my nie mamy prawa ich osądzać? Czego możemy się od nich nauczyć?

Pierwszego września 1939 roku dziadek Jakub sprzedał sklep w Łodzi, który dostał od Piłsudskiego za wojnę polsko-rosyjską, kupił konia, wóz, zapakował babcię, młodszego syna Heńka, córkę Stasię i moją mamę Halinę na furmankę i kazał jechać do

Popielaw. Sam ze starszym synem Wackiem pojechał bronić Warszawy. Ten wybór był dla niego oczywisty. W promieniowaniu takich wyborów, w popiele po nich, przechował się ten żar, który rozgorzał w Polsce w 1980 roku, a wcześniej rozpalal się w czasie powstań. Wygrali i... przegrali. Bilans ich wyborów, ich poświęceń i wątpliwości dopiero się dopełnia. Obraz nie jest krzepiący. To dzisiejsza Polska.

Na czym fa porażka polega?

Właśnie na podziale – źle się nawzajem postrzegamy, nie potrafimy przekroczyć niewidzialnej linii. Z prowincji lepiej się pewne sprawy widzi. Intuicyjnie wyczuwam zagrożenie wiszące nad zbiorowością. Możliwe, że pogodziłby nas jakiś zewnętrzny kataklizm. Ale tego trudno Polakom życzyć.

Czyja postawa jest panu bliższa? Dziadka, który twarzo trwa, czy babci pełnej zwątpienia, także wobec sensu śmierci jej syna. Zarazem oboje są ludźmi na swój sposób bardzo mocnymi.

Odpowiem tak: jestem cały z babci, taki babcisynek. Mam kruchość z niej, ale i moc też z niej. Wychowując mnie w Popielawach, zastępowała mi w najważniejszych latach mamę. To po niej mam nieustające zdziwienie światem i pracowitość. A dziadek był jak pomnik, oddalony, z tajemniczego świata, pełnego strachu. W święta przypinał odznaczenia na klapie sfatygowanego garnituru i przechadzał się po wsi. Nie przyjmował do wiadomości, że władza unieważniła te odznaczenia, bo on unieważnił w sobie tę władzę. Zresztą, jak dowiedziałem się w IPN, władza śledziła go do wczesnych lat 60.

Opowiada pan o nich w szczególnie sposób. Najpierw leciutka ironia chłopca zderzającego ze światem dawnych rytuałów i sentymentów. Potem ton serio, relacja z okrucieństw, jakie ich spotykały. A na końcu znowu leciutki dystans, nawias. Która emocja jest dla pana najważniejsza?

Ważna jest suma. Opowiadałem to, co pamiętam. Dziadek bywał wesóły. Upijał się rzadko, ale wtedy dużo i zabawnie śpiewał oraz grał na organkach. Właściwie czekałem na te dni, kiedy dziadek sięgał po kieliszek. Opowiadał wtedy o Auschwitz i o Niemcu, który uratował mu życie, umieszczając na zimę w obozowej rymarni. Chciałem zanotować tę migotliwą sumę, tę pełnię, w której smutku było jednak więcej.

Nie zaprzecza pan, że to film także o konieczności pojednania. Ale przecież dziadek nie rezygnuje z zemsty. Może przesłanie jest bardziej złożone? A może nie ma go co w ogóle objaśniać?

Mój dziadek przyjął do rodziny komunistę, mojego tatę, który po strasznej tułaczce obozowej wrócił do kraju i został porucznikiem Ludowego Wojska Polskiego. Wcześniej otarli się o siebie w Niemczech w obozie Mittelbau-Dora.

Babcia nie chciała słyszeć o takim zięciu, podobnie jej młodszy syn, który wrócił z Anglii, od Andersa. Dziadek otrząsnął się w ostatniej chwili, zapakował do walizki pięć kilo kiełbasy i kilka butelek wódki, wsiadł w pociąg do Wrocławia i w ostatniej chwili zdążył na ślub córki. On jeden tam pojechał. Ostatecznie ojca wyrzucili z wojska za ślub kościelny i ochrzcenie trójki dzieci. Dzięki temu trafił do świata filmu, tak jak wcześniej jego ojciec, który nie dożył końca wojny. Nie wiem, czy dziadek zabiłby tego ubeka, ale założyłem, że tak. W nim było silne pomieszanie gniewu i miłości do ludzi.

Kiedy pan mówi o ojcu, komunistycznym oficerze, nasuwa się scena spotkania dziadka Jakuba z takim oficerem w filmie.

Ten, do którego dziadek mówi „synku”, to nie jest mój ojciec. Tu poszedłem tropem wojskowego z LWP, który wydobyl z UB zdjęcia martwego wuja i dostarczył dziadkom. Przyjechał do nich po cywilnemu pod koniec 1946 roku i się rozpłakał. Nie wiedział, dokąd iść, nie wiedział, czy wybrać słuszną drogę. W czasie wojny był z dziadkiem w AK, ale udało mu się ukryć przeszłość. Pierwotnym wzorem ubeka, którego dziadek zabija, był za to oficer śledczy z piotrkowskiego UB, który katował babcię i powtarzał: „urodziłaś, kurwo, bandytę, to powiesz się na tych kratkach”, po czym wręczył jej skórzany pasek. Dziadek robił się błądy jak ściana, kiedy babcia wspominała o tym bandycie.

Zawsze był pan reżyserem osobnym, niedbającym o poklask. Czy tym filmem wchodzić w środek ważnej historycznej debaty chciał pan trochę zmienić sposób, w jaki postrzegają pana widzowie?

Nie wiem, jak mnie postrzegają widzowie. Nie nasłuchuję. Zresztą to nie ja wszedłem w środek ważnej debaty, tylko ona wdarła się w moje życie. Gdyby debaty nie było, ja i tak zrobiłbym „Ulaskawienie”. Kiedy w 1990 roku robiłem „Pogrzeb kartofla”, rzecz w jakimś stopniu o polskim antysemityzmie, od debaty o tym dzieliło nas jakieś... 20 lat.

Na ile pan i Grażyna Błęcka-Kolska mieliście w tyle głowy własne życiowe doświadczenie – śmierci waszego dziecka?

Potrafię już mówić o śmierci Zuzi. Tak, to doświadczenie nie tylko zamykające duszę, uśmiercające jakieś sektory człowieczeństwa, ale też uwrażliwiająca – mówiąc metaforycznie – opuszki palców. Kiedy teraz dotykam nimi prawdy o bólu, czuję ją na odległość. Tak było na planie filmu. Nie mam upoważnienia, żeby mówić w imieniu Grażyny, ale sądzę, że ona odczuwała to jeszcze silniej. ©

—rozmawiał Piotr Zaremba

Jan Jakub Kolski (1956) – reżyser i operator. Autor m.in. „Jancio Wodnika”, „Historii kina w Popielawach”, „Daleko do okna”, „Pomografii”. Były mąż aktorki Grażyny Błęckiej-Kolskiej.



W „Ułaskawieniu” Jan Jakub Kolski opowiada historię swego dziadka Jakuba i babki Hanki, którzy jesienią 1946 r. wyruszają w podróż, aby pochować syna, oficera partyzantki, zabitego przez komunistów

PIOTR ZAREMBA

Jan Jakub Kolski znalazł nietłętą receptę na sklejenie polskiej wspólnoty filmem o historii.

POPIELAWY OD ZAWSZE

Nie wiem, czy „Ułaskawienie” Jana Jakuba Kolskiego jest najbardziej perfekcyjnym filmem ostatniego festiwalu w Gdyni. Dla mnie jest filmem najpiękniejszym. Obejrzałem go po godzinie 22.30 w sali gdyńskiego Multikina, z dala od zgiełku wzniesionego wokół innych tytułów. Doznałem wrażenia ogromnego skupienia ludzi, z którymi tam siedziałem. Po projekcji słyszałem przyciszone głosy, widziałem mgiełkę zadumy na oczach wychodzących. Chwilami zapominamy, że takie dzieła mogą istnieć.

A znaczenie, waga filmu? Reżyser znany z tworzenia kina osobistego, niełatwego, sięgnął po temat „wykłych”. Już to powinno zaciekać po różnych podchodach naszych twórców pod ten temat i po ideowo-politycznych kontrowersjach wokół obecności powojennej antykomunistycznej partyzantki w naszej debacie i narodowej mitologii.

Mariaż fikcji z realizmem magicznym

Oczywiście droga Kolskiego (rocznik 1956), syna filmowego montażysty, do tej tematyki nie mogła być konwencjonalna. Już swoim pierwszym długometrażowym obrazem z roku 1990 „Po-

grzeb kartofla” rozpoczął cykl opowieści o Popielawach, miejscowości koło Tomaszowa Mazowieckiego, gdzie przez kilka lat opiekowali się nim jako nastolatkiem dziadkowie ze strony matki, państwo Szewczykowie. Nie wahał się rozpisać historii własnej rodziny na kilka filmów, choć zgodnie z logiką realizmu magicznego prawdę mieszał z fikcją, a do miejscowości urastającej do rangi mitu przenosił inne fragmenty swojej rodzinnej tradycji i własnego życia.

Potem dokonywał skrętów w różne strony. Okrutny i realistyczny charakter miał film „Daleko od okna” (2000) według prozy Hanny Krall, odwołujący się do wojennej historii ukrywania Żydów. „Pornografia” (2003) na podstawie sławnej powieści oznaczała porzucenie pastelowej, wyrozumiałej przypowieści na rzecz gombrowiczowskiego okrucieństwa, choć też wtopionego w wiejski krajobraz. Wierny nakazowi opowiadania świata swojej historii podzielił się niedawno dramatem, jakim była strata córki Zuzanny, w książce, a potem filmie „Las. 4 rano”. To tylko niektóre z jego dzieł.

A teraz powrócił do Popielaw, do swego dziadka Jakuba i babki Hanki. Po to, aby odsłonić może najbardziej dramatyczny epizod ich życia. Jesienią 1946 r. wyruszają w podróż, aby pochować swojego syna, oficera partyzantki, zabitego przez komunistów. Znowu prawda miesza się z fikcją, całość jest opowiedziana w szczególnie sposób – na początku dystans zapewniany przez narrację wnuka, czyli samego Kolskiego, potem

gesty dramat, narastanie potworności, a wreszcie, wraz z odzyskiwaniem spokoju przez parę głównych bohaterów, nawet odrobina ironii.

Ale to nie jest ironia, która rani. To ironia pozostająca w kręgu i w logice rodziny. Tej najmniejszej, skoro reżyser sam jest przewodnikiem, czytając partie narratora. Ale chyba także w logice rodziny szerszej, jaką jest polska wspólnota.

Mamy piękne zdjęcia Juliana Kernbacha i świetną muzykę Dariusza Górnioka. Klimat waha się – od wspólnych symfonii zlania się z przyrodą po podkreślany przez dźwięki czar starej opowieści. Ale opowieści niewyidealizowanej, bo są i peerelowskie kroniki, i ułański mundur dziadka, jest brzydota życia i jest straszliwa mordęga ludzi w opresji. To ona zajmuje większość filmu.

Ludzie potrząskani

Myliliby się ktoś, kto sprowadzałby tę historię do nastrojów. Mamy tu niemal wykład o Polakach po drugiej wojnie światowej. Precyzyjny, choć pada tak niewiele słów. To ani patriotyczna czytanka, ani fałszywe obrazoburstwo. Ci ludzie są potrząskani, pełni zwątpienia, także w stosunku do religii, niekonsekwentni i czasem mówiący rzeczy

straszne, o czym często wolimy zapomnieć, szukając obrazów ku pokrzepieniu. I zarazem są piękni – w swoim poszukiwaniu wolności.

Sam powtarzałem, że zamiast ówczesnych Polaków upiększać, warto spróbować ich zrozumieć takimi, jakimi oni byli. Reżyser, zarazem twórca scenariusza (nagrodzonego w Gdyni), różnicuje postawy obserwowanego nieustannie małżeństwa, ale nikomu nie przyznaje chyba racji.

Jedni powiedzą, że to film o konieczności wybaczenia, mamy tu przecież Niemca (sugestywny Michał Kaleta) jako przypadkowego towarzysza podróży. Ale czy istotnie oferuje nam się naiwność pojednania wynikającego z politycznej poprawności, skoro mamy także brutalność partyzantów ukraińskich? Mamy piękną scenę, kiedy dziadek Jakub pyta oficera Ludowego Wojska Polskiego, który im pomaga, czy zna on swoją drogę. I pada odpowiedź: „nie, nie znam”. Polskie losy były mocno pokomplikowane, a więc nie dzielnym ich czarno-białymi konturami. Ale mamy też okrucieństwa UB i mamy zemstę. Ją także Kolski zdaje się rozumieć.

O tym, że jest to film historyczny, przekonuje rozmowa z doktorem Jerzym Bednarkiem, zastępcą dyrektora Biura Badań Historycznych łódzkiego oddziału IPN, który konsultował „Ułaskawienie”. – Do kwestii historycznych reżyser przywiązywał wyjątkową dbałość. Chodzi nie tylko o oddanie brutalnej atmosfery realiów powojnia w Polsce, ale i zwykłe detale, jak np. właściwy format dowodów tymczasowych, oryginalny formularz „Kwestionariusza agenta” czy też różne elementy umundurowania poszczególnych formacji wojskowych – opowiadał mi.

Zarazem historyk podkreśla: „To opowieść trochę na przekór trwającej ostatnio mitologizacji »wyklętych«. W moim odczuciu jego historia jest zaledwie punktem wyjścia do opowieści o tym, jak zachować człowieczeństwo w czasach, które były jego zaprzeczeniem”.

Doktor Bednarek przesłał mi swoją opinię zawierającą wyniki badań historycznych, gdzie szczegółowo opisuje losy zarówno zabitego wuja Kolskiego, jak i babki maltretowanej przez UB w Tomaszowie Mazowieckim, powtarzającej oprawcom, że syn jest jej do wódca, a ona jest z niego dumna.

Film jest różnie odczytywany przez recenzentów. Wzbudził podziw Tadeusza Sobolewskiego z „Gazety Wyborczej”, który uznał go za współczesny apel o przerwanie „wojny polsko-polskiej”. Możliwe, że komplementy po tamtej stronie film zyskuje także jako „niejednoznaczny” – w stosunku do wcześniejszych filmowych obrazów o „wyklętych” zdominowanych przez apologię. Ale podoba się też bardziej konserwatywnym krytykom. Tym, którzy uznają tę „niejednoznaczność” relacji, bo ona jest kawałkiem prawdy o ówczesnej Polsce. W produkcji pomogła konserwatywna TVP, reżyser dziękował dyrektorowi Mateuszowi Matyszkowiczowi. Może zajmując się tak skomplikowanym, wciąż dzielącym nas kawałkiem historii, właśnie on znalazł jakąś receptę na sklejenie nas jako wspólnoty? Właściwie jak nikt przed nim.

A zarazem kiedy „Kler” bije rekordy oglądalności, Kolski wciąż negocjuje obecność „Ułaskawienia” w kinach. Nie chodzi mi o przeciwstawianie filmów: polska kultura pomieści i Smarzowskiego, i Kolskiego. Chodzi mi o wybór trudniejszej drogi, bez wędrowania na skrót. Mimo wszystko wierzę, że ten film może coś zmienić w Polakach. Choć sam Kolski mówi, że kino chyba nie ma takich możliwości sprawczych.

Doceniając go, kiedy próbuje nam wyprostować ścieżki historii, a może tylko pomóc przejść krętymi możliwie najbezpieczniej, warto pamiętać o wymiarze osobistym filmu. Reżyser i jego była żona Grażyna Błęcka-Kolska stracili córkę. To jest ich wspólna opowieść także o stracie dziecka. Ona nie zagrała w „Ułaskawieniu” babki Hanki. Ona nią była – z przejmującym monologiem o tym, gdzie chciałyby go widzieć, kiedy patrzy na niego w trumnie. To była rola nie tylko na miarę nagrody w Gdyni, którą zasłużenie zdobyła, ale też na miarę głębokiego wzruszenia takiego widza jak ja.

Partnerował jej Jan Jankowski jako dziadek Jakub, na co dzień grywający w teatrach komediowe role, tu będący kwintesencją zwyczajnego bohaterstwa. Tak, jakby się urodził rymarzem z Popielaw. Oboje grali już u Kolskiego i czują tę jego niezwykłą zwyczajność. Tu ona ma szczególny sens. Ten film, czytany łącznie z poprzednimi, to także przypowieść o prostym patriotyzmie zwykłych Polaków. Może hymn tak bardzo „niehymnowy”.

Obejrzyjcie ten film. ©

MARIUSZ CIEŚLIK

W tym tygodniu przedstawiamy kolejne trzy pozycje z kanonu literackiego stworzonego specjalnie na stulecie niepodległości Polski we wspólnej akcji Instytutu Książki i radiowej Trójki. Zapraszamy do głosowania.

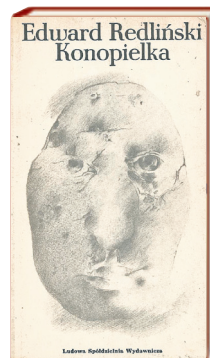
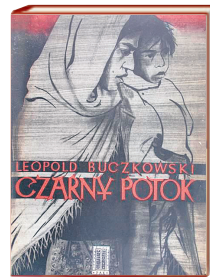
100 KSIĄŻEK NA STULECIE

Tym razem trzy powieści, które w odmienny sposób portretują polską prowincję.

Pierwsza to pisany w latach 40. „Czarny potok” kresowego autora Leopolda Buczkowskiego (1905-1989), który był także utalentowanym malarzem, grafikiem i rzeźbiarzem. Literatura kompletnie zapomniana dzisiaj, może po części ze względu na komunistyczne sympatie pisarza i jego życiowe wybory.

Druga książka to głośna „Konopielka”, która zyskała drugie życie dzięki wybitnej adaptacji filmowej z początku lat 80., gdzie w rolę Kaziuka fantastycznie wcielił się Krzysztof Majchrzak.

Trzecia powieść jest najmłodsza z trójki. To „Kamień na kamieniu”, jedno z najwybitniejszych dzieł w dorobku Wiesława Myśliwskiego.



„Czarny potok” (1954), Leopold Buczkowski

Powieść, która podzieliła krytyków i czytelników. Jedni obserwatorzy zarzucali jej nadmiar zabiegów formalnych, narracyjny chaos i zapożyczenia z prozy Williama Faulknera. Inni uznali ją za dzieło wybitne. Historia literatury przyznała rację tym drugim.

W „Czarnym potoku”, który został opublikowany w roku 1954, Leopold Buczkowski opisał swoje doświadczenia wojenne z Podola. Powieść opowiada o losach oddziału partyzanckiego na przestrzeni kilku miesięcy w 1943 r., kiedy Polacy musieli stawić czoło nie tylko okupacyjnym wojskom niemieckim, ale też ukraińskim nacjonalistom.

Problem z odbiorem powieści Buczkowskiej polega na jej skomplikowanej strukturze narracyjnej i zaburzeniach w chronologii. W zamysłu autora miało to bowiem oddać wojenny chaos, wszechobecną przemoc i śmiertelne zagrożenie. Czasem trudno stwierdzić, kto do kogo mówi oraz kiedy miały miejsce opisywane wydarzenia. Jednak obrazy wojny odmalowane przez Buczkowskiego są niesłychanie sugestywne i na długo zostają czytelnikowi w pamięci.

„Konopielka” (1973), Edward Redliński

Świata, który ta powieść pokazuje, nie ma i nie było już w roku 1973, kiedy się ukazała. Polska wieś z gusłami, zabobonami, zacofaniem, analfabetyzmem, pozbawiona prądu i kontaktu ze światem zniknęła dużo wcześniej. Ale opis Redlińskiego nie jest realistyczny, to metafora i groteska. Do zagubionych gdzieś wśród bagien Taplar przyjeżdża nauczycielka, a wraz z jej przybyciem nadchodzą zmiany. Zostaje utworzona szkoła, rozpoczyna się elektryfikacja. Mieszkańcy wsi przyjmują to z ogromną nieufnością. Chcą żyć jak zawsze, boją się nowoczesności. Ale postęp cywilizacyjny jest nieuchronny, a pewnych procesów nie da się cofnąć, nawet jeśli chcemy.

Historia opowiadana jest z perspektywy zafascynowanej nauczycielką chłopca Kaziuka. To on, początkowo przeciwny zmianom, po jej wyjeździe staje się rzecznikiem postępu. W ostatniej scenie widzimy, jak wbrew woli całej wioski idzie do żniw z kosą, a nie z tradycyjnym sierpem. W 1981 r. według powieści powstał głośny film w reżyserii Witolda Leszczyńskiego.

„Kamień na kamieniu” (1984), Wiesław Myśliwski

Wielka powieść rozgrywająca się w realiach polskiej wsi pierwszej połowy XX w. Jest rodzajem hołdu dla kultury chłopskiej, która zanika wraz z rozwojem cywilizacyjnym i powojenną migracją do miast.

Wiesław Myśliwski opowiada o kilkudziesięciu latach dziejów rodziny Pietruszków, ale jego uwaga skupiona jest przede wszystkim na losach Szymona. Wiejski zawiadacz, pierwszy do bitki i do wypitki, cieszący się ogromnym powodzeniem u kobiet, pod koniec życia staje się kimś w rodzaju wiejskiego filozofa i snuje wspomnienia o swoim życiu. A obfitowało ono w burzliwe wydarzenia: hitlerowska okupacja, partyzantka, powojenna reforma rolna. Szymon – jeden z czterech synów w ubogiej chłopskiej rodzinie – chwycił się wielu zajęć, z niejednego pieca jadł chleb i niejedno widział. Pod koniec życiowej drogi bez złudzeń patrzy na swoje porażki i błędy, które skazały go na życiową samotność. I rozmyśla nad sensem istnienia. ©

Mariusz Cieślak,
zastępca dyrektora
Programu III Polskiego Radia

Pełna lista stu książek oraz
możliwość głosowania na stronie
www.polskieradio.pl/trojka



Film jest realizowany w koprodukcji polsko-czesko-słowackiej.

PRODUCENCI:



Wytwórnia Doświadczalna:

Założycielem jest uznany scenarzysta, reżyser oraz operator Jan Jakub Kolski. Debiutem producenckim Wytwórni był film „Las. 4 rano”, który wszedł do dystrybucji kinowej w styczniu 2017 roku. Międzynarodowa premiera odbyła się na MFF Shanghai, polska – podczas Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni.

Centrala



Centrala koncentruje się na produkcji filmów dokumentalnych i fabularnych młodych twórców. Zespół tworzą ludzie z różnorodnym doświadczeniem zawodowym, a jego rdzeniem są Agnieszka Janowska, Jacek Nagłowski i Paweł Kosuń – założyciele, właściciele i producenci firmy. Filmy wyprodukowane przez Centralę wielokrotnie były pokazywane na międzynarodowych festiwalach filmowych, gdzie zdobywały nagrody, m. in. Cannes, Vision du Reel, Planete +Doc, Krakowski Festiwal Filmowy, Warszawski Festiwal Filmowy. Specjalnością Centrali są koprodukcje międzynarodowe. Wybrana filmografia: „Wieża. Jasny dzień” w reż. Jagody Szalc (Polska, 2017), „Las. 4 rano” w reż. Jana Jakuba Kolskiego (Polska, 2016), „Mnich z morza” w reż. Rafała Skalskiego (Polska, Niemcy 2016), „Gottland” - koprodukcja czesko-polsko-słowacka (2014).

KOPRODUCENCI:



Film współfinansowany przez:



koprodukcja
Wojewódzki Dom Kultury w Rzeszowie



zrealizowano przy wsparciu finansowym Wojewódzwa Podkarpackiego i Gminy Miasto Rzeszów
w ramach
Podkarpackiego Regionalnego Funduszu Filmowego



Film współfinansowany przez Miasto Łódź



Film współfinansowany z funduszy Miasta Wrocławia i Województwa Dolnośląskiego poprzez Dolnośląski Konkurs Filmowy



Partnerzy:



Kontakt:



Patrycja Strzyżewska

nr telefonu: 721 834 701

mail: patrycja@centralafilm.pl